

DROGA PRZEZ KAŻNIE

Prawdziwa męka rozpoczęła się już od chwili aresztowania. Podczas aresztowania próbowałem ucieczki, która nie udała mi się; zostałem postrzelony w prawą nogę, a przy tym dotkliwie pobity. Pobitego wrzucili mnie jak zwierzę na samochód i od czasu do czasu kopano mnie jak psa; zbroszonego krwią dostarczyli do "gestapo".

Z "gestapo" przewieziono pewną grupę więźniów w liczbie około 60-ciu do obozu Łódź-Radogoszcz. I tu przeniosę się myślą do kilku wspomnień - od chwili przybycia do Radogoszczy, aż do momentu wyjazdu do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Na dziedzińcu obozu Radogoszcz wypędzono nas jak bydło, okładane pejcami, na końcu których obezity był ołów w skórę. A na powitanie towarzyszył nam wrzask jednego z kluczników, hitlerowca z Polski, prawdopodobnie furmana z Łodzi o imieniu Józiu. Ów Józiu wrzeszczał: czapki z głów polskie świnie - przyszlście do świętego miejsca! Ustawiono nas pod murem, twarzą do ściany. Wydawało nam się, że pod tym murem będziemy rozstrzelani. Zziębniętych trzymano nas tak około 2-ch godzin. Następnie kolejno wołano nas na wartownię, tam odebrano nam wszystkie dokumenty osobiste, przy czym wysłuchiwalismy całej gamy obelg.

Serce drżało z żalu, łzy płynęły z oczu i pomimo otrzymywanych szturchańców milczeliśmy. Z kolei wpędzono nas do łaźni, kazano rozebrać się do naga. Jakiś, niby lekarz, Niemiec przeszukiwał kieszenie ubrań. Ta osoba, która zostawiła pieniądze, została wezwana i przykładnie pobita sękatą łaską z gruszkowego drzewa. Kara nie kończyła się na samym tylko pobiciu.

W łaźni tej znajdowało się koryto z zimną wodą. Tam wpychano więźniów i trzymano przez pół godziny. O wyłonieniu ciała z wody nie było mowy, bo zaraz lekarz ów bił i wpychał końcem łaski do koryta. Po tak zwanym "chrzcie" wydawać miano ubrania, które przeszły przez parownię. Lecz torturom nie było końca. Przyszedł ów Józiu mówiąc: teraz będzie prawdziwy chrzest bojowy. Zamknął drzwi na klucz i bezlitośnie rozprawiał się z nagimi ludźmi, bijąc potwornie pejczem aż do krwi, która bryzgała po ścianach. Po otrzymaniu odzieży kazano nam iść na górę.

W tym dniu w obozie była "sodoma i gomora". Żandarmi bili bez opamiętania, a inspiratorem tego bicia był Pelzhauser, gruby żandarm - dał on się nam we znaki tego i następnego dnia; czego nigdy nie zapomnę.

Podkładali żandarmi nogi biegnącym, a kiedy więzień przewrócił się, padali na niego inni, a oprawcy bili i bili aż do krwi. A kiedy na Anioł Pański w pobliskim kościółku biły dzwony, Józiu żandarm wrzeszczał: módlcie się, dzwonią na Anioł Pański, prosić waszą Matkę Boską niech się zlituje nad wami, niech was wybawi.

My bez jego drwin modliliśmy się w duchu: o Pani nasza, Orędowniczko nasza módl się za nami. I od tego dnia dziękuję Jej, że uprosiła dla nas żyjących łaskę u swego Syna. To trwało około 6

tygodni. Już nawet woleliśmy być w Dachau lub Oświęcimiu, byle nie tam. Aż wreszcie nadszedł dzień transportu - ale gdzie? Każdy z nas zadawał sobie to pytanie: gdzie?

Opatrzono rany, polecono wyprać zakrwawioną bieliznę. I wreszcie transport. Kiedy pytaliśmy Niemca, gdzie jedziemy, odpowiedział: na roboty. Odetchnęliśmy z ulgą, lecz nie wierzyliśmy i nie wiedzieliśmy jaki czeka nas dalszy los. Wyprowadzono nas poza bramę obozu; na ulicy stał tramwaj, do którego nas wpędzono; okna tramwaju były zabite, by nikt nie widział kogo wiozą lub żebyśmy nie dawali znaków ludziom na ulicy. Pomimo to ludność wiedziała o naszym transporcie i dochodząc do dworca kolejowego Łódź-Kaliska ludzie podawali nam chleb, szukając swoich bliskich. Płaczące matki żegnały swych synów lub żony swych mężów.

Jesteśmy w wagonie, żandarmi pilnowali nas bardzo dokładnie, a okna zamknęli na łańcuchy i kłódki, żeby nikt nie uciekł. A kiedy wjechaliśmy na tereny niemieckie, żandarmi zdjęli łańcuchy z okien. Jeden z żandarmów powiedział po polsku: pilnujcie się nawzajem, bo chociaż by jeden uciekł, dziesięciu innych będzie rozstrzelanych. Zrozumieliśmy, że nie jedziemy na roboty. Jechaliśmy w milczeniu, a jeżeli rozmawialiśmy to szeptem, bo oprawcy rozumieli po polsku.

Pamiętam w mroźny zimowy wieczór dojechaliśmy do celu. Wpędzono nas z wagonu, po czym przeszukano wagon, czy ktoś się nie ukrył. Następnie załadowano nas na auto wojskowe. W ciemnościach nie wiedzieliśmy, co to za wojsko. Dopiero kiedy samochody zatrzymały się przed bramą, na której widniał napis Konzentrations-Lager Gross-Rosen, przy oświetleniu rozpozналиśmy formację tegoż wojska - to byli przekłęci esesmani.

Ustawiono nas piątkami, tak jak to zwykle czyniono w obozach koncentracyjnych. Transport nasz liczył od 60-ciu do 80-ciu ludzi; dokładnie nie pamiętam. Tak, jak nie pamiętam daty przybycia, ani jaki to był dzień - o tym nikt z nas nie myślał. Usłyszeliśmy tylko, co nas czeka i czy przeżyjemy.

Wprowadzono nas do obozu, postawiono na wolnym powietrzu. Pada komenda: Mützen ab! /czapki z głów/, a wokół nas kręcili się esesmani; nie wiedzieliśmy, jakie plany snują. Psy niepokoiły nas, wymachując ogonami, czekały na rozkaz, by szarpać ludzkie ciało; - i tego doczekaliśmy się.

Po pewnym czasie wpędzono nas do sutereny jakiegoś baraku, ustawiono nas piątkami pod ścianą, a esesmani robili przegląd, oczywiście w asyście psów. I o zgrozo, z tego transportu wyciągnięto 3-ch starców. Jeden esesman wymyślał im, po czym sierpowym ciosem uderzył w twarz, a gdy starzec upadł - najsamprzód kopiąc później wskoczył leżącemu na piersi i brzuch, zarywając wnętrzności.

A do uszu naszych dochodziły jęki konających ludzi. W ten sposób zginęli trzej starcy.

Nie jestem w stanie opisać lęku, jaki ogarnął pozostałych więźniów. Nikt nie chciał stać w pierwszym szeregu, obawiając się dzielić los tych osób, którzy już nie żyli, zamordowanych na naszych oczach.

Z owej sutereny zabierano pojedynczo do innego pomieszczenia, gdzie kazano rozbierać się do naga. Pomieszczenie, w którym się rozbieraliśmy, było przewiewne, prosto był przewiew. Przy rozbieraniu obecny był esesman, który bardzo pilnie wpatrywał się w więźnia. Osobie, która miała na szyi przedmiot sakralny, krzyżyk lub medalik, esesman nakazał zdjąć ten przedmiot, rzucić na ziemię i podeptać. Nikt nie wykonał tego rozkazu, mówiąc: nie rozumiem. Esesman sam zrywał i deptał, a więzień był maltretowany

kijem grubości trzonka od łopaty. Niejeden stamtąd wyszedł zakrwawiony, a nawet ze złamanymi kończynami. Mnie los też nie oszczędził. Zdarzało się, że więzień poruszał się o lasce, laskę łamano na kawałki, szukając w niej rzekomo przechowywanego złota. Więźnia pozbawiono środka, za pomocą którego miał się poruszać. Zabierano również okulary.

Następnym etapem naszej drogi, to łaźnia. Po kąpieli wydano bieliznę osobistą przysługującą więźniowi, płaszcze, klapki drewniane bez pięt, lub tak zwane "holendry", bez skarpet, bez ubrania i czapki. W tym stroju kazano nam maszerować po śniegu 3 km, a z nas buchała para, bo tak schło nasze ciało i powoli stygło. Brocząc po śniegu na wpool nadzy rozglądaliśmy się, a przed naszymi oczyma rozciągał się las światła na parkanach i niezliczone szeregi baraków ciemnych, nieoświetlonych. Tam spali więźniowie twardym snem. Oni podobnie jak my przechodzili katusze. A kiedy rano poszliśmy do roboty, podchodzili do nas starsi więźniowie, mówiąc: widzieliśmy jak was gonili po śniegu w nocy. A jednak wy nie spaliście? Tak, spali, ale nie wszyscy. I znów pytano, co słyhać w kraju? Więzień ten mówił: zostawiłem w domu matkę starszuskę, chorą żonę i troje małych dzieci, czy oni jeszcze żyją? I zapłakał. Nie wiem o czym on myślał, znać modlił się, bo co chwilę wznosił oczy ku niebu, a po jego twarzy toczyły się łzy jedna po drugiej.

Po przebyciu tej drogi, dygocących z zimna zapędzono nas do baraku Nr 9, w którym blokowym był Ukrainiec, słynny Iwan. Jego imię znał każdy więzień w Gross-Rosen. Wchodząc tam zdawało się nam, że już koniec bicia. O, nie! Pomyliliśmy się. Iwan przeprowadzał z każdym osobno rozmowę. W ten sposób wyszukiwał ludzi z lwowskim akcentem i na nieszczęście znalazł jakiegoś profesora ze Lwowa. W pierwszej kolejności z nim się rozprawił, pozbawiając go życia; - bił głowę o mur, aż pękła głowa, po czym polecił zmyć krew ze ściany, sam obmył zbrukane we krwi bandyckie łapy. Trupa rzucił pod okno, a nas "usadził" na podłodze. Miał stos skarpet, czapek i ubrań. Iwan mówił: będę was uczył numerów po niemiecku; wolno pomylić się dwa razy, za trzecią pomyłkę będę bił. A ponieważ nikt nie umiał po niemiecku wymawiać cyfr, wobec czego każdy oberwał, i to przykładnie. Wywoływał numer i więzień musiał się zgłosić; przy czym rzucił jedną skarpetkę, potem drugą itd. Wywołując tak uczył nas na pamięć wymawiać bezbłędnie numery. Od tego czasu staliśmy się tylko numerami, bez nazwisk.

Ta lekcja trwała do godziny 3-ej nad ranem. Iwan polecił rozłożyć sienniki, w których nie słoma, lecz sieczka była. Wszyscy zasnęli, a we śnie widzieliśmy całą przebytą przez nas drogę, nie wiedząc, jaki czeka nas los. Godzina 5-ta rano; odezwały się gongi na pobudkę. A Iwan wrzeszczał: Aufstehen, Bettbau /wstawac ścielić łóżka/. Zerwaliśmy się, jak opętani, nie wiedząc, co mamy w pierwszej kolejności robić, czy ubierać się, czy znosić sienniki na wyznaczone miejsca. Drżeliśmy z zimna, bo spaliśmy przy otwartych oknach. Kiedy wszystko zostało uporządkowane, na podłodze nie mogła zostać najmniejsza odrobina słomy. Tu należy zaznaczyć, że sienniki były papierowe i okropnie z nich się pruszyło. Następnie wyszliśmy na apel. Na widok esesmana drżeliśmy, jak liście na osice, obawiając się, czy nie spadną na nas ciosy kija, którego esesman miał w ręce. Po apelu śniadanie: 1/2 l. zupy. A po śniadaniu do roboty.

Przydzielono nas do "Lager-Komando", którego kapo - potężny Niemiec recydywista - bezlitośnie pędził nas do roboty, niesamowicie wrzeszcząc: Schnell, schnell - arbeit i okładał kijem. Po-

mocnikiem, tak zwanym "Vorarbeiterem" był Czech. Ten krzyczał, lecz nie bił. Nasze komando wozilo kamienie na rolkach, bo rozbudowywano obóz. Tory były słabe, często się rozchodziły, przy czym rolka wypadła z szyn i w czterech trzeba było wstawić wózek pod ciężarem na szyny. Tu nic nie pomogło, ni płacz, ni lęk. Wózek trzeba było wstawić, jeżeli nie chciało się oberwać kijem. Wspomagała nas cicha modlitwa w tych ciężkich chwilach.

Na obiad nie było zbyt dużo czasu - zaledwie 1/2 godz., bo "cugangi" musieli dostać szkołę. Na każdym kroku slychać było wołanie: Zugange antreten /to znaczy "cugangi" zbiórka/ - biegiem do roboty. Zimno i głód dokuczał, a my jak nędznicy gramoliliśmy się na śniegu.

Po powrocie z roboty z kamieniołomów każdy więzień musiał wnieść na barkach kamień. Przy dźwiękach marsza kolejno komanda wchodziły do obozu, a w oddali slychać było komenderowanie kapo: links, links, zwei, drei, vier - aby wszyscy utrzymali krok. Bo biada temu, co nie utrzymał kroku; - a już nie żył ten, co się przewrócił z kamieniem. Nie dość że kamień go poranił, czasem i łamał kości, esesmani dobijali więźnia. Wracaliśmy tak okrutnie zmęczeni, zziębnięci i wyczerpani, słaniając się na nogach.

Kiedy ktoś nie wytrzymał nerwowo, poprostu nie mógł znieść tortur, rzucił się na druty wysokiego napięcia na parkanie i ginął, bo lepsza i szybsza była taka śmierć, niż ciągły strach, nie wiedząc, co czeka go jutro.

Hitlerowcy, chcąc zamaskować liczebność więźniów w obozach, zamiast kolejnych numerów nowo przybyłym do obozu więźniom dawali numery po więźniach zamordowanych. W ten sposób ukrywali ludzi zamordowanych, wykazując się zawsze pełnym stanem jakoby więźniów zamordowanych nie było. O tym przekonaliśmy się już w obozie, poznając po tym, że więźniowie, którzy wcześniej przybyli ode mnie mieli wyższe numery, niż my z nowego transportu.

Każdy dzień wiekiem się zdawał. Aż pewnego razu w porze obiedowej przyszedł jakiś więzień pełniący funkcję na tak zwanej "szrajbsztubie" i polecił Iwanowi zrobić "antreten" wszystkich "heftlingów" zwanych "cugangami". Więzień ten był narodowości czeskiej. Powiedział, że potrzeba 60-ciu "heftlingów" na transport do innego obozu, do pracy przy budowie fabryki, ale tylko ślusarzy. Wypytywał o staż pracy w zawodzie ślusarza. Zgłosiłem się i ja ponieważ uczyłem się tego zawodu w Warszawie. Czech odrzucił mnie, ponieważ byłem za młody, a staż nauki w zawodzie ślusarza nie kolidował z moim wiekiem; miałem niespełna 19 lat. Na usilną moją prośbę zapisał mój numer, ale nie dał zapewnienia, że uda mu się coś zrobić; powiedział: pomyślę o tym - i odszedł. Ja w niepewności czekałem wiadomości od Czecha. Następnego dnia, a była to sobota, bo tak mówił Czech, wyczytał numer i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i radości wywołał mnie pierwszego, a wśród innych kol.kol.Piaseckiego Stefana i Libnera Zdzisława, z którymi się przyjaźniłem; obaj pochodzili z Włocławka.

Wygolono nam pasy na głowach szerokości 3 cm; wyglądaliśmy jak zebry. Pozbawiono nas godności ludzkiej. Czech wywołał mnie dyskretnie na dwór, idąc wyjaśnił: Miałem wzgląd na Twój młody wiek oraz to, że tu zginiesz. Lubię cię, chociaż krótko cię znam. Ale uważaj - urodziłem się nie w 1923 roku, a w 1922r.; pamiętaj o tym; poprawiłem datę urodzenia w dokumentach; pamiętaj o tym. I istotnie pamiętałem i pamiętam do dnia dzisiejszego i jestem mu za to wdzięczny, chociaż już nigdy w życiu go nie spotkałem.

Wydano nam obiad - pół ziemniaka i około 50 gramów jakiejś tam "zołży". Tuż po zjedzeniu obiadu, który trwał może więcej niż

1/2 godz., załadowano nas na traktor z dwoma przyczepami i 4-ch esesmanów. Jechaliśmy w nieznaną, bo któż by mógł się zapytać, gdzie jedziemy. Jechaliśmy na odkrytych przyczepach, siedząc na podłodze, by nikt nie mógł rozpoznać, co to za ludzie jadą.

Robiło się już szaro, jak dojechaliśmy na miejsce. Traktor nie mógł wjechać na teren obozu; zatrzymał się na głównej drodze w lesie prowadzącej w kierunku Odry. Traktor odjechał, a z nami robiono musztrę, chociaż byliśmy zziębnięci, a zapryskane nasze twarze przez błoto upadabniało nas do Murzynów. Błyszczwały nam tylko zapadnięte w oczodoły oczy. Pięćset metrów marszu; jesteśmy na miejscu i o zgrozo - ten sam widok "bocianice", zaszki, parkan pod wysokim napięciem i światła na słupach parkanowych. Podobni esesmani i psy w ich towarzystwie. Pada komenda: Komando halt! czapki z głów i pouczenia, że stąd jeszcze nikt nie uciekł, chyba że przez komin w Gross-Rosen. Po zakończeniu zastraszającej przemowy esesmańskiej przemarsz przez bramę; pada znów komenda: halt!

I od tego momentu ze "szrajbsztuby" wyszli więźniowie funkcyjni i wszyscy blokowi. Ale najśmiej "musztra", której prosiłem mi wybaczyć - nie powtórzę, bo drzę cały, a oczy zachodzą łzami. Wreszcie "schreiber" /pisarz/ powiedział: przesłiście dobrą szkołę. Wywoływano poszczególne numery przydzielając na bloki. Najwięcej "heftlingów" z naszej grupy przydzielono na blok 5-ty do blokowego Motzkusa, grubego Niemca; tam zamieszkałem i ja.

Strach doprowadził do tego, iż pomimo, że znaleźliśmy nasze numery, myliliśmy się. Tak mnie się przydarzyło. Wystąpiłem na wywołanie numeru 23449, a ja byłem oznaczony numerem 23459. Dopiero kiedy po raz drugi wywołano mój numer, znów się zgłosiłem, drżąc ze strachu. Podeszedł do mnie "szreiber", a był to Polak, dobry i zrównoważony, wziął mnie za ramię i powiedział: nie bój się, nikt cię nie pobije. "Szrajbsztuba" obsadzona jest przez Polaków, nie będziemy wam robić krzywdy. Słyszając to, łzy spłynęły mi po policzkach. Do tego "szrajbera" Polaka - miał na imię Czesław, nazwiska już nie pamiętam - podeszedł wysoki mężczyzna, też "heftling" i jak się okazało był to kucharz Polak z Nowego Targu; powiedział mu coś szeptem.

Każdy blokowy zabrał swoich "heftlingów" /więźniów/. Wprowadzono nas na "sztubę" 7-mą, w której "sztubowym" był Holender; miał na imię Tynes. Nastąpiło przydzielanie miejsc do spania i ponowne pouczenie, czego nam nie wolno, a co powinniśmy robić szybko. Po pierwsze, ubrania należy ułożyć w kostkę na stołach, klapki drewniane pod kostkę na ziemi itd. Rano godz. 5-ta pobudka, ubieranie się szybko - nie dłużej niż 5 minut. Następnie "bettbau" /słanie łóżek/ i jak muszą być zasłane. Jeżeli ktoś źle posłał łóżko, robił "sport": padnij, powstań, padnij, żabka, rolowanie po ziemi itp. W dalszych instrukcjach, podanych przez tego Holendra, poinformowano nas, że ten obóz nazywa się Dyhernfurth II i jest filią obozu Gross-Rosen i liczy 3.000 więźniów.

Po pewnym czasie przyszedł ten sam kucharz, który rozmawiał ze "szrajberem", odnalazł mnie i podał mi "pajdkę" chleba, tak się po obozowym mówiło. Nie wiedziałem, jak mu dziękować. Muszę tu zaznaczyć, że w tym transporcie byłem najmłodszym więźniem, stąd ta litość nade mną ze strony starszych, będących na funkcjach Polaków. Uspokajał mnie i ostrzegał, że jeżeli będę płakał nie przeżyję.

Godzina 21-sza, wszyscy do łóżek, zmęczeni zasnęliśmy, spaliśmy nakryci tylko jednym kocem. Okna otwarte były naościerz, a padający w nocy śnieg wpadał przez okna na śpiących więźniów. Taka

kwarantanna trwała tak długo, dopóki nie przyszedł nowy transport więźniów. Dzięki opiece tego kucharza, który mnie pocieszał i od czasu do czasu przyniósł coś do jedzenia, w końcu przeniesiono mnie na "sztubę" pierwszą, gdzie spali kucharze; przetrwałem najcięższe chwile.

Po przybyciu na blok 5-ty mieszkający tam więźniowie przychodzili szukać, czy wśród nowo przybyłych więźniów nie znajdą kogoś z rodziny lub znajomych. I istotnie na "sztubę" 7-mą przyszedł znajomy z Kuluszek o nazwisku Jan Chojnacki. Był tam również leśniczy z Zielenina, dobry znajomy mojego ojca, nazywał się Fabiański. Ten ostatni umarł na jednym z apeli. Kiedy padła komenda: całość baczność - pan Fabiański nie mógł utrzymać równowagi, był bardzo chory, padł na ziemię. Pradopodobnie już nie żył, bo po apele zabrano go na "rewir", gdzie była skrzynia na trupy, ale o niej opiszę później. A teraz kilka słów o położeniu obozu.

Obóz Dyhernfurth II usytuowany był w lesie w odległości od 1200-1500 metrów od obecnej fabryki zwanej "Zakłady Rokita", po lewej stronie drogi idącej od Odry i w/w zakładów. Obóz z drogi nie był widoczny, a dojazdowe drogi do obozu były tak usytuowane, że wchodziło się w las, nie wiedząc dokąd dana droga prowadzi. Zresztą droga główna była zamknięta dla prywatnych pojazdów, a to w tym celu żeby nikt nie widział świateł palących się nocą na parkanowych słupach.

Blok 1 i 6 były to baraki drewniane, parterowe. Natomiast pozostałe bloki były murowane i jednopiętrowe. Na "appelplatzu" ustawiona była szubienica. Podłogi w blokach były z cegieł, jak również piece. Do pewnego czasu były łóżka, lecz w miarę napływu nowych transportów z więźniami brakowało miejsc do spania; wyrzucano łóżka i spaliśmy na ziemi. Do spania rozkładano sienniki, a rano układano je w rogu "sztuby" /izby/. W "sztubie" znajdował się stół ze stołkami i szafka na miski. W takim pomieszczeniu spało od 10 do 36 więźniów; było bardzo ciasno. Władzę w bloku sprawował blokowy, a do pomocy miał tak zwanego "kalifaktora", o niższych uprawnieniach. Blokowy i "kalifaktor" mieli osobne pomieszczenie do spania. W bloku były dwie umywalnie na parterze i na piętrze, zwane "waschraumami". Na środku tej umywalni było koryto do mycia z zimną wodą, w której zawsze się myliśmy. W nocy nie wolno było wychodzić na zewnątrz bloku. Nocą wystawiana była "nachtwacha" nie zezwalająca nikomu na opuszczenie bloku. Potrzeby fizjologiczne załatwiano się do ustawionych na noc "kibli", które rano wynoszono do "latryny", znajdującej się w jednym końcu obozu. Przed pełnieniem funkcji "nachtwachy" jedni się bronili inni pełnili ją chętnie, ponieważ otrzymywali 1/2 l. zupy więcej. Ale to nie rekompensowało nieprzespanej nocy. Bo biada, żeby "nachtwacha" zasnęła; były przeprowadzane kontrole przez esesmanów. Rano zabierano takiego więźnia na "appelplatz" na "sport", gdzie zdarzało się, że podczas takiego morderczego "sportu" padali trupem z wycieńczenia fizycznego. Inni znów, którzy nie spali na "nachtwache", zasypiali przy robocie, na terenie fabryki. Zasypiali biedacy tak twardo, że nie obudzili się na obiad. Natomiast kapo i "Vorarbeiter" czuwali nad tym, żeby mieć cały stan Komanda przy obiedzie lub na "fajerancie".

W przypadku nie doliczenia się jakiegoś więźnia kapo natychmiast meldował do "komando-führera" esesmana, który zarządzał zbiórkę.

Zawyła syrena, to był dla nas znak, że jest "antreten"/zbiórka/. Wszystkich więźniów z terenu fabryki odprowadzano do obozu, a esesmani i kapo powracali szukać zaginionego. Przeważnie odnaj-

dowano takiego więźnia. Więzień ów to nie kto inny jak "muzułman". Muzułman, to osoba całkiem wyczerpana, bez ciała, skóra i kości. Więzień ten zasnął ze słabości pomiędzy workami z cementem. Pomimo, że zasnął - nazwano go uciekinierem.

W tym czasie, kiedy szukano więźnia, bez względu na pogodę; deszcz, śnieg lub wichura. Tak długo wszyscy więźniowie musieli stać, dokóki nie znalazł się mniemany uciekinier. Kiedy wystawiano nas na zimno ze zdjętymi czapkami, które dość często się powtarzało, myśleliśmy o samoobronie przed zimnem. Na terenie fabryki wybieraliśmy co czystsze worki od cementu i zakładaliśmy sobie pod koszulę taki worek papierowy; chronił nas od zimna. Blokowi donosili o tym esesmanom, ci znów robili kontrolę, znajdując ten papier na ciele bili nas. Worków od cementu wywieziono z obozu dwa ciężarowe samochody. Pomimo to, iż często robiono kontrolę, my w dalszym ciągu zakładaliśmy papier, nie bacząc na bicie, jakie nam groziło z tego powodu.

Po doprowadzeniu mniemanego uciekiniera do obozu, stojących zwalniano na bloki, a ów delikwent, ubrany w wysoką czapkę jak w cyrku klaun, z tablicą na piersiach i na plecach z napisem: "hurra, hurra, ich bin wieder da" /to znaczy: cieszę się, że znów tu jestem/ był ustawiony w bramie na widok publiczny. Kiedy po godzinie 21-ej wygaszono światła w blokach - myśmy patrzyli. Widzieliśmy bezradni skazanego na śmierć przez powieszenie więźnia.

A naprawdę uciekiniera wieszano. Pamiętam dokładnie ten obraz, jak wieszali Rosjanina. Po wieczornym apelu doprowadzono skazańca; więźniowie pozostali na placu; następnie postawiono go na desce szubienicy. Pętlę, pamiętam, zakładał mu Rosjanin "sztubowy" sztuby 4; miał na imię Iwan. Zakładał mu tę pętlę, bo go do tego zmusili, a przecież był to dobry człowiek. A w ostatnich słowach skazaniec wykrzyknął: "da здравствует ruski i polski narod, da здравствует tow. Stal..."; w tym momencie "raportführer", esesman ze Śląska, wykopał mu deskę z pod nóg. Tej scenerii przyglądali się więźniowie; widok przerażający; skazaniec miał związane ręce do tyłu; bronił się nogami, podciągnął je raz i drugi do góry, lecz gdy sił mu zabrakło, całą siłą opuścił nogi. I tak zawisł człowiek, który pragnął być wolnym. I był wolnym, bo już nie żył, był wolny, bo plugawy esesman nie pluł mu już w twarz i nie maltretował jego ciała.

Znam również inny wypadek i los uciekinierów; było ich 3-ch: jeden Polak i dwóch Rosjan. Wszystkich trzech zabito kulami. Wszystkich ułożono na ziemi na "apelplacu", a nam kazano zdjąć czapki z głów i patrzeć na nich. Mieli powrywane dziury w brzuchu lub w piersiach, tak, że wszystkie wnętrzości było widać. Innym znów razem powracaliśmy z roboty, a przy bramie na marach leżał trup. Przechodzące "komanda" musiały patrzeć na niego. Pada komenda podana przez kapo: Kommandooo...Mützen ab, die Augen links! I właśnie z naszego "komanda" Żydek nie mógł patrzeć i nie odwrócił głowy. Esesman zatrzymał "komando", dał rozkaz w tył zwrot i wrzeszczał: Żydzie, dlaczego nie patrzyłeś? "Heftling" się tłumaczył, że patrzył tylko szybko odwrócił głowę. Nie było tłumaczenia. Esesman kazał mu położyć się na trupie i całować go. Żydek rozkaz wykonał - w przeciwnym razie sam by zginął. Więzień posiłku już nie jadł, skarżąc się, że mu jedzenie stoi w gardle.

Raz zdarzył się taki przypadek: kazano nam robić porządek wokół obozu. Rosjanie z naszego komanda gdzieś w psich budach znaleźli jedzenie dla psów: suchary i wszystko co było do zjedzenia. Wykradliśmy to, jedząc, bo głód nam dokuczał. Jeżeli u kogoś zna-

leżli chociaż okruchy psiego jedzenia, podczas kontroli na bramie, strasznie za to bili. Taki głód panował w Dyhernfurth II. W obozie głównym pożywieniem była "zupa". Pomimo głodu ciężko było to przełknąć. Jeżeli nie chcieliśmy tego jeść, esesmani bili kijami, krzyząc: wy jesteście bydłem, co chcecie więcej? Myśmy po kryjomu wlewali to bydłace żarcie do latryn, za co groził stryżek, ale tego naprawdę nie można było jeść, pokrzywy były lepsze niż to.

Był rok 1944 latem; esesmani nakazali śpiewać do marszu, kiedy szliśmy do roboty. Przez pewien okres śpiewaliśmy po polsku, ale komuś się to nie podobało i polecili uczyć się śpiewać po niemiecku pod przymusem. Ponieważ miałem zdolności śpiewacze, blokowy Mockus posłał mnie na inną "sztabę" uczyć śpiewu "haftlingów". Na tej sztabie byli sami Chorwaci, rozumieli mnie, gdy do nich mówiłem po polsku, a nawet trochę śpiewali. Ale kiedy na kontrolę przyszedł blokowy, podałem ton, a Chorwaci nie otworzyli nawet ust; stali jak zakłęci. Nie przypuszczali, jaki los zgotowali mi swoim milczeniem. Mockus, to ten blokowy, pobił mnie tak silnie, że cały zboczony krwią upadłem na ziemię, a ten kopiąc mnie wrzeszczał, że zabije jak psa, albo zawołał "blockführera" Weisa; - bo ten esesman tak się nazywał. Ten oprawca znęcał się nad więźniami na "appelplatzu", zamęczając na śmierć podczas "sportu", o którym już poprzednio wspomniałem. I gdyby nie nadszedł ten Holender Tyneś, oddałbym w ten czas ducha. On mnie uratował i zabrał z powrotem na swoją "sztabę".

Tego lata miałem straszny pecha. Pewnego dnia siedziałem przy obiedzie tuż przy oknie; za oknem przechodził Rapportführer, esesman ze Śląska; łotr umiał po polsku. Stał za oknem i coś marudził; kazał otworzyć mi okno. I zapytał: schmeckt gut? Odpowiedziałem: Jawohl! Herr rapportführer; - ten bandyta kopnął mnie w piersi łamiąc mi żebro. Na "rewir" nie poszedłem, bo tam by mnie dobił, gdyby przyszedł na kontrolę. Zawsze krzyczał; tam w skrzyni jest jeszcze dla ciebie miejsce. Skrzynia stała przy "rewirze", tak, że jeżeli ktoś umarł lub został zabity, wrzucano trupa do skrzyni i raz lub dwa razy w tygodniu wywozili do Gross-Rosen do krematorium.

Pech prześladował mnie nieustannie. Pewnej soboty po południu nasze komando musiało pracować. Dopasowywałem "flansze" do kotła. Cywilni majstrowie nie pracowali na tej kondygnacji bloku fabrycznego. Po prostu cywile po południu w sobotę nie pracowali. Byłem sam w tym końcu hali fabrycznej. Niespodziewanie przyszła cywilna Niemka; szukała mojego majstra; zapytała mnie, czy tu nie ma pana Hucksbringa? Odpowiedziałem, że dzisiaj mój majster nie pracuje. Na tym nasza rozmowa się zakończyła. W tym momencie wszedł esesman i krzyczał, co za interes mam do cywilnej kobiety. Nie pomogło jej wyjaśnienie. Niemkę gdzieś wyprowadził, a po mnie powrócił; nie pozwolił mi nawet odnieść narzędzi, którymi pracowałem. Kolbę karabinu pchał mnie ku przodowi. Tego samego dnia wywieźli mnie do "sztrafkomanda" do Gross-Rosen.

Już zgasła wszelka nadzieja, że przeżyję. Dostałem się w ręce blokowego, Vogla, który był w "sztrafkomandzie" panem życia i śmierci. Tam naszyto mi czerwoną szmatę na plecy i na spodnie i rozpoczęła się męczarnia w kamieniołomach. Stamtąd droga do wolności była jedyna - przez komin. Nie jestem w stanie tego dokładnie opisać, przeżywając to po raz drugi, przelewając to na papier. Posiłki w "sztrafkomandzie" jadło się prawie w biegu; zaledwie zdarzyło się wypić zupę, a brukiew lub buraki wkładało się do kieszeni i ukradkiem jedliśmy, żeby nie zauważył blokowy. Bo nie dość, że zabrał brukiew i wyrzucił, to więźnia pobił lub zepchnął ze skały.

Po 14-tu dniach przyszedł po mnie esesman, wywołując mój numer. Na widok esesmana z karabinem w ręce w myślach zęgnąłem się ze światem. Esesman prowadził mnie przed sobą, a ja modląc się w myślach prosiłem Boga o lekką i szybką śmierć. Esesman zaprowadził mnie na wartownię, obok której leżały psy; i to mnie bardzo zaniepokoiło. Postawiono mnie na wprost okna wartowni. Po pewnej chwili odbywał się nade mną tak zwany "Sondergericht". A mnie tak bardzo zaschło w gardle, że czułem ból; poblądłem i ręce mi drżały. Ale tu nie o mnie chodziło, mnie można było zabić bez sądu, ja byłem dla oprawców śmieciem, który można było zdeptać na pył, wgnieść w ziemię.

Chodziło oczywiście o Niemkę, z którą rozmawiałem; ją chcieli od winy uwolnić. Ona też była na tym sądzie, ale zeznania składaliśmy osobno. I tak też się stało: ją zwolniono, a przy tym i do mnie los się uśmiechnął. Zostałem zwolniony ze "sztrafkomanda" i na powrót przywieziony do Dyhernfurth II. Uznałem to za cud, że przeżyłem. Ale to, że przeżyłem, zawdzięczam mojemu majstrowi Antoniemu Huckenbingowi.

W Dyhernfurth II było kilkudziesięciu więźniów młodocianych. Oni zatrudnieni byli przy zbieraniu złomu. Ich komando nazywało się "schrauben-komando". Ci chłopcy zbierali złom i inne przedmioty rozrzucone na terenie fabryki. Pewnego razu młody chłopiec w wieku 12 lat podszedł za blisko do parkanu, tam zbierał ten złom na oczach wszystkich tam obecnych Niemców cywilnych i więźniów. Z "bocianicy" padł strzał. Wachman zastrzelił tego chłopca, oskarżając go, że chciał uciekać. Na terenie fabryki zawrzało. Niemcy cywilni zaprotestowali, bo oni go tam posłali. Zobaczyli sami, jakimi metodami i w jak perfidny sposób obchodzono się z więźniami. Cywilni majstrowie nie wiedzieli, co z nami wyrabiają esesmani. Myśmy o naszych warunkach i sposobie męczarni, jakie przechodziлиśmy, opowiadali cywilom. Oni zaś w milczeniu słuchali, przenosząc te wiadomości swoim zaufanym, a nam kazali uważać na siebie, by nie usłyszeli esesmani. Cywilni Niemcy z "ukosa" patrzyli na esesmanów.

W obozie Dyhernfurth II warunki sanitarne były nie do zniesienia. W szczególności brak ciepłej wody do mycia. Mydło mieszanne było z piaskiem, lub z ludzkiego tłuszczu, od którego szybko dostawało się wszy. I istotnie w obozie panowała wszawica. Nie dość, że głód nam dokuczał, to jeszcze w dodatku wszy piły naszą krew, a przecież nie mieliśmy jej za wiele. Pomimo to, że wygolono nam wszędzie zarost. Wszy panoszyły się gnieźdząc się w szwach koszul. Kiedy tylko nadarzyła się okazja rozpalić gdzieś ognisko, trzymaliśmy koszule nad ogniem, by tępić robactwo. Lecz to nie zdawało egzaminu. Wszy panoszyły się dokuczając więźniom do tego stopnia, że wstyd było nam się drapać w obecności cywilnych majstrów. Więźniowie masowo chodzili do "latryn" by w ukryciu tępić je; lecz po niedługim czasie znów było pełno wszy, do tego stopnia, że wychodziły już nam na pasiaki. Pewnego razu zauważył mój majster wszy na moich pasiakach, popatrzył się, odwracając się dyskretnie ocierał łyzy. Z moim majstrem byłem szczery, bo i on nieraz dzielił się ze mną swoim śniadaniem. Tem człowiek pocieszał: już niedługo wojna się skończy i zabiorę Cię do siebie do domu.

Za ich pośrednictwem potajemnie wysyłałem listy do moich bliskich w kraju. Raz zdarzył się taki przykry przypadek: majster cywil otrzymał dla mnie paczkę, która przyszła na jego nazwisko. Prawdopodobnie człowiek ów był antyhitlerowcem i być może był pod obserwacją. Był podejrzany, że współpracował z Polakami. Człowiek ten został aresztowany i jak się później dowiedziałem od innego

majstra nazywał się Józef Sauer. Niemiec dostał 5 lat "zuthauzu" a mnie nie wydał. Pamiętam zimowy wieczór, była zawieja śnieżna, nakazano wszystkie rzeczy osobiste i koce odnieść do parowania, czyli do odwyszalni. Rozkazano rozebrać się do naga i w stroju "adamowym" odnieść ubrania w śnieżną zadymkę. Robiliśmy to nie bacząc na zimno. Rzeczy odnoszono "sztubami"; po powrocie z parowni drżąc z zimna czekaliśmy na nasze ubrania i koce. Pozbawiliśmy się wszy, lecz nabawiłem choroby, dostałem zapalenia płuc. Ciężko chorowałem, w gorączce majaczyłem, tak mówili koledzy. Dzięki temu "sztubowemu" Holendrowi ocalałem od śmierci. Holender nocą wydostał się na "rewir", nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie mu groziło ze strony esesmanów. Przyniósł mi aspirynę, narzucił na mnie kilka płaszczy, bym się wypocił. Wypociłem się, ale do pracy rano iść musiałem. Holender, to ten Tynes, nie pozwolił mi chodzić na "rewir", bo tam bym nie przeżył.

On się mną sam opiekował. Po powrocie z roboty ponownie kładłem się do łóżka, a Holender kurował mnie nadal. Żeby przeżyć w tych warunkach i znieść tę chorobę, to chyba należało nazwać cudem. Po chorobie wyglądałem bardzo źle, przeraźliwie blady, opadłem z ciała. Prześladowała mnie ciągle myśl, że moje dni są policzone. Strasznie bałem się, żeby mnie nie palono po śmierci. Już wolałbym, żeby wrońy szarpały resztki ciała, które na mnie zostały, byle nie palono mnie w krematorium. Znać przeznaczenie moje było inne, w co głęboko wierzę. Po pewnym czasie wysypały mi się wrzody na plecach i siedzeniu; w ten sposób wychodziła ze mnie zziębiona krew. Na "rewirze" dano mi taką szarą maść do smarowania, którą stosowano przy chorobie świerzbu. Ja przecież świerzbu nie miałem, ale musiałem smarować się tą maścią.

Do Dyhernfurth II przybywali nowi "cugangi"; w większości pochodzili z Radomia. Na naszej "sztubie" było ich dwóch. Lecz długo z nami nie byli.

Pewnego dnia po powrocie z fabryki nie zdążyli zjeść obiadu, wywoływano ich numery, mieli z powrotem powrócić do Gross-Rosen. Zrozumieli, że koniec z nimi, wiedzieli, że idą na śmierć. Obaj pożegnali się ze mną, bo z nimi się przyjaźniłem. Jeden z nich - starszy - był maszynistą kolejowym, a młodszy był jego pomocnikiem. Żałuję bardzo, ale nazwisk ich już teraz nie pamiętam, lecz pamiętam pobladłe ich twarze, które im się bardzo zmieniły. Wiedzieli, że za kilka godzin ciała ich spłoną w krematorium. Kogóż oni mieli prosić o ratunek? Jakież to było przykre, a zarazem przygnębiające, kiedy żegnali się z nami, życzyli nam przetrwania i szybkiego zakończenia wojny oraz powrotu do rodziny. Czegoż my mogliśmy im życzyć? Chyba jedynie tego, żeby nie ginęli w męczarniach, ale nie mówiliśmy im o tym. Na pożegnanie pocieszyliśmy ich, że może tak źle nie będzie, może przeżyją. Ze łzami w oczach opuszczali naszą "sztubę". W ostatnich do nich słowach drżącym głosem powiedziałem: niech Was Bóg prowadzi. Lecz na co? - na śmierć, czy życie?

Widziałem, jak kolbami karabinów wpychali ich do auta, bijąc przy tym. Ten widok wystarczył, żeby nie spać tej nocy, bo każdy mógł się liczyć z podobnym losem, nie wiedząc, co czeka go jutro.

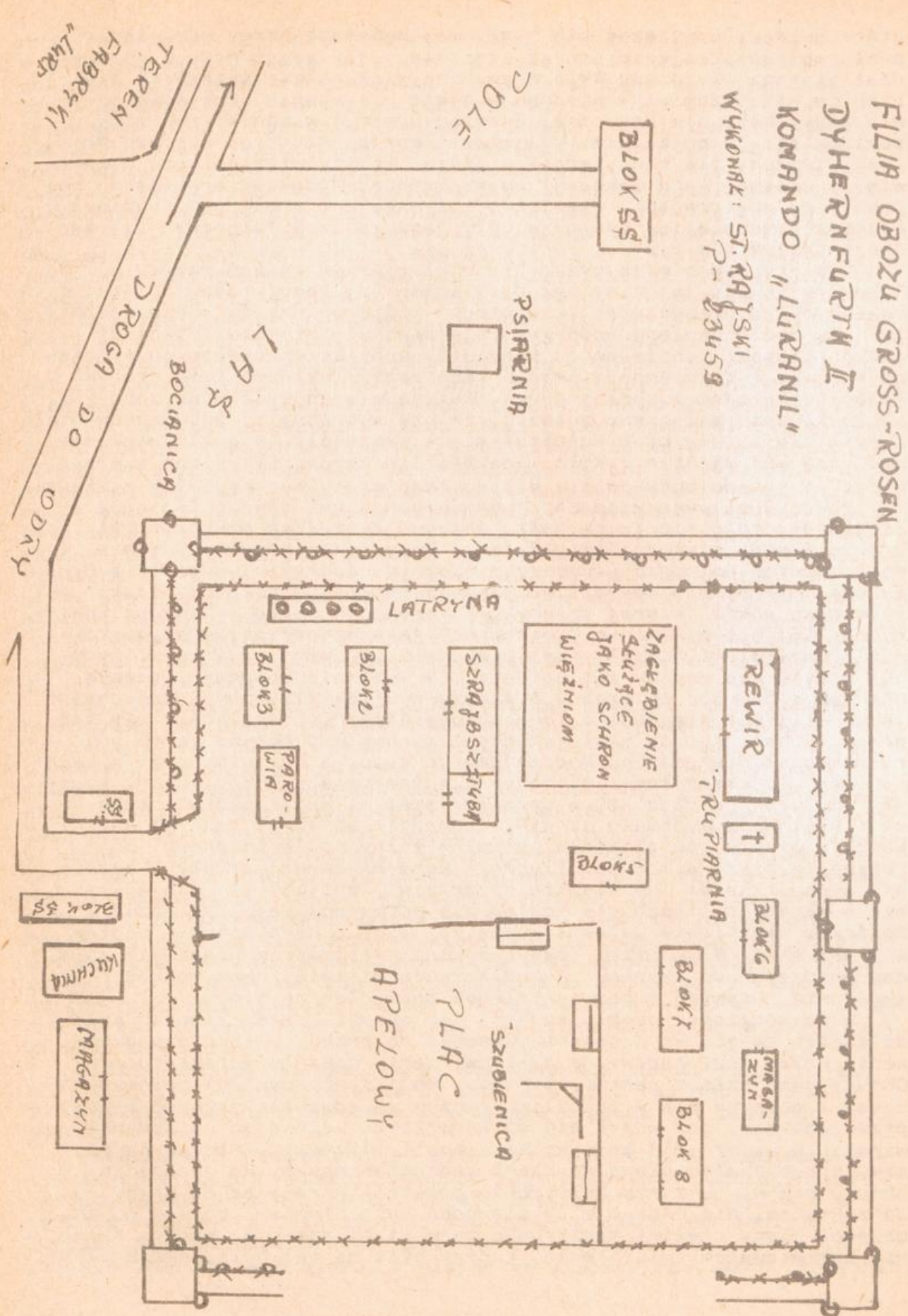
Jeszcze kilka szczególnych wydarzeń, których nie podałem w dotychczasowej mojej relacji. Powodem tego było moje podniecenie dotyczące obozu Dyhernfurth II. Jeżeli poprzednio wspomniałem o esesmanie Weisie, to jeszcze inne szczegóły przypominam sobie. Podczas jednego wieczornego apelu Weis przeliczał blok 5-ty, to znaczy więźniów tego bloku. W pierwszym szeregu stał młody Rosjanin,

któremu zaczęło mieszać się w głowie; być może nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Rosjanin zaczął się śmiać, jak esesman Weis sprawdził szeregi więźniów. Weis wrzeszczał: czego się śmiesz? Więzień ów nie rozumiał - wiadomo w jakim był stanie. Rosjanin powiedział, żeby nie krzyczał. Esesman uderzył więźnia; ten znów powiedział: za co bijesz ty germańska mordo. Wiadomo, esesman Weis rozwścieczony bił nieustannie więźnia. Pobity więzień padł na ziemię, a wsesman Weis wskoczył mu na brzuch. Widok przerażający; popękały mu wnętrzności; więzień przez całą noc robił pod siebie. Nastąpiło zapalenie, być może były jeszcze inne komplikacje; rano Rosjanin już nie żył.

Jeszcze jedno moje przeżycie w pierwszych dniach pobytu w Dyhernfurth II. Tej zimy był duży śnieg; do roboty chodziliśmy w takich tylko drewnianych "klapotach" Idąc po śniegu śnieg podbijał się pod drewnianą podeszwę, nierówno się stępało. Spadł mi jeden "kłapek"; chciałem go podnieść, schylony szukałem go w śniegu rękami. A tu niespodziewanie kapo zaczął okładać mnie grubym kijem; uciekając zgubiłem drugi. Bez obuwia chodziłem do roboty około 14 dni. Bałem się zgłosić, że nie mam obuwia, żebym znów nie dostał bicia. Nie będę wgłębiał się w szczegóły, ale zlitował się nade mną mój majster z Köln, nazwiskiem Anton Huckebring i przyniósł mi gumowe buty; ale wiele do tego czasu wycierpiałem z zimne

Po dokuczliwych zimnach, chodzeniu nieomal boso po śniegu, a niejednokrotnie spaniu na gołym śniegu, zaczął mi dokuczać ból krzyża i nóg, a szczególnie kolana. Były takie momenty, że nie mogłem ustec na nogach. Marsze z obozu do fabryki i odwrotnie były dla mnie bardzo dokuczliwe. Jednej soboty po południu brukowano plac wokół "starej sztuby". Tę czynność miało wykonywać komando 116; w tym właśnie "komandzie" ja pracowałem. Jedni dostarczali kamienie i piasek, inni brukowali. Z uwagi na dokuczliwy ból krzyża nie mogłem się poruszać, a kamienie dowożono ręcznym wózkiem i do tego potrzebny był duży wysiłek fizyczny. Pech chciał, że kręcili się esesmani i "obersztummführer", przyglądali się tej pracy. Wobec tego należało szybko i sprawnie pracować, a tu ból mi dokuczał nieznośnie. Podszedłem do kapo, a był nim Polak z Leszna Wlkp., poskarżyłem się, co się ze mną dzieje. Kapo, dobry starszy człowiek, widząc łzy w oczach, kazał mi wziąć młotek brukarski i brukować. Wydawało mi się, że będzie mi lżej; tak też uważał kapo. Niestety, po godzinie poczułem silny ból w kolanach, bo trzeba tę pracę wykonywać klęcząc. Ręce mi bardzo drżały i robota nie wychodziła mi. Na wielkie szczęście - zbliżał się "fajerant" ale o własnych siłach nie mogłem się podnieść. Kapo zarządził zbiórkę, więźniowie ustawiali się, a ja na czworakach nie mogłem się poruszyć. W mgnieniu oka dwaj inni więźniowie podnieśli mnie, doprowadzając do szeregu. Po odliczeniu więźniów dano rozkaz rozejść się. Stamtąd z pomocą kolegów poszedłem na blok.

W poniedziałek poszły komanda do fabryki. Każde komando szło do swoich zajęć. Po śniadaniu wracamy do pracy, a tu niespodziewanie pękły rury gazowe na hali naprzeciw naszego warsztatu. Chmura gazu szła w naszym kierunku. Majstrowie cywilni pochwycili maski i nogi za pas - uciekli; za nimi ja zdążyłem założyć maskę przeciwgazową, gaz wdarł się do warsztatu. Uciekając za budynek warsztatu majstrowie krzyczeli: schnell hinlegen. Padłem na ziemię, przyciskając głowę do ziemi zapinałem maskę. Po przejściu chmury gazowej wszyscy majstrowie powstali, wracając do pracy. Ja zostałem, nie miałem siły się podnieść, niewiem co się ze mną działo. Kiedy cywilni majstrowie zerwali mi maskę z twarzy, silnie wymiotowałem. Więźniowie, którzy byli na tej hali, gdzie pękła



rura, leżeli pokotem; nie wszyscy zdążyli założyć maski, kilku z nich zatrąło się na śmierć.

Nadszedł grudzień 1944 roku. Hitlerowcy pośpiesznie wywozili rtęć i inne cenniejsze rzeczy z fabryki. Wstąpiła w nas nadzieja, że już, tuż nadchodzi koniec. A końca nie było. Krótko, bardzo krótko po nowym roku 1945, bardzo wcześnie, może była 3-cia lub 4-ta rano, wpadli esesmani na teren obozu. Zarządzono rolować koczce, przewieszać przez ramię i szykować się do wymarszu. Nie wszyscy otrzymali zupę, bo kucharze nie zdążyli jej ugotować. Siała się panika wśród więźniów, którzy rzucili się na kuchnię po chleb; chleba nam nie wydali. Esesmani strasznie strzelali, formując szeregi, lecz popłoch trwał nadal. Dopiero jak zaczęły padać trupy, esesmani opanowali sytuację i natychmiast wymarsz. Pieszko pędzono nas do Gross-Rosen. Zdążyliśmy przejść most, przeszliśmy może 1 km, most został wysadzony w powietrze. Nas pędzono jak skazańców, bo przecież nikim innym nie byliśmy jak skazańcami na śmierć.

Idąc po śniegu, głodni i zziębnięci, więźniowie co słabsi padali z wyczerpania. Widzieliśmy, jak esesmani dobijali ich kolbami karabinów; nie strzelali, bo byłoby słychać. Droga zasłana była trupami. Widzieliśmy również wojsko okopane, stanowiska maszynowych karabinów. Dzień chylił się ku zachodowi. W pewnym momencie zajechały samochody wojskowe. Zatrzymali naszą "kolumnę"; wyskoczyli z tych samochodów oficerowie i żołnierze z bagnetami na karabinach. Budził się lęk wśród więźniów. Nie znaleźmy zamiarów wojska. W pewnej chwili pada rozkaz jednego z oficerów; *sämflige SS antreten* /to znaczy: wszyscy esesmani zbiórka/. Żołnierze mieli broń w pogotowiu. Oficer krzyczał doniosłym głosem; jeżeli zobaczymy jeszcze jednego trupa z więźniów, to pojdziecie na front, a ludzi bezbrónnych rozpuścimy. Patrzcie, tam są już Rosjanie. Tę co wy tu robicie, będzie zaliczone na nasze konto. Brać podwojdy i chorych ludzi wieźć wozami.

Po niedługim czasie pojawiły się sanie zbite z desek, na które wrzucano więźniów słabych, a inni musieli te sanie ciągnąć. Esesmani wyszukiwali w szeregach co silniejszych więźniów do ciągnięcia tych san, ale i oni słabli. Nastął wieczór, godziny określić nie mogę, bo i skąd. Zapędzono nas na dziedziniec jakiejś cukrowni. Nakazano położyć się na śniegu. Więźniowie zakradli się do hal cukrowni po wysłodki buraczane, które wsypywaliśmy w kalesony, by nikt nie znalazł. Jeden z esesmanów, starszy wiekiem, przyniósł menażki, kazał więźniowi nabrać syropu i sam odszedł. Inni esesmani krzyczeli: *alles liegen und schlafen* /wszyscy położyć się i spać/.

Śnieg topniał pod naszymi plecami i siedzeniami; potem woda zamarzała i kiedy rano wstawaliśmy w pośpiechu esesmani bili kijami, tak, że niejeden część płaszczka pozostawił przymarznęty do ziemi. Niektórzy więźniowie gubili te wysłodki, esesmani to zauważyli, bili przy tym bezlitośnie.

A ci, co byli na tych saniach, zamarźli na śmierć. Na saniach było miejsce na następne ofiary, jakie padały po drodze. Ofiary grzebano po drodze i gdyby dzisiaj pójść tą drogą, każdy przekonałby się, że tym szlakiem szły kolumny więźniów na dalszą śmierć. I to do 1978 roku było tajemnicą, kto tu leży w tych grobach. Moje wyjaśnienie w Muzeum Historycznym rozwiało wątpliwości tych, którzy zadawali sobie pytanie, co tu się działo, skoro w tych miejscach jest tyle grobów.

W czasie dalszej wędrówki szliśmy przez jakąś większą wieś. Pamiętam - skręcaliśmy w prawo; po lewej stronie stał kościół;

kolumna więźniów była długa. W pewnej chwili wyszła Niemka z piekarni trzymając koszyk małych bułek, podbiegła szybko, rozsypując te bułki wśród nas. Więźniowie rzucili się, by je zbierać. Zauważył to esesman; kolbą karabinu zadał cios kobiecie w piersi; z ust jej popłynęła krew. Kobieta padła na ziemię. Co się dalej działo, nie wiem, bo esesmani strasznie nas bili, pędząc ku przodowi, łącząc nam i kopali nas jak psów. Następnego dnia wieczorem dotarliśmy do Gross-Rosen, który w tym czasie był w rozbudowie; przybyło dużo nowych baraków na stokach gór. Dopiero, jak wchodziliśmy do obozu zobaczyliśmy zrzuconych więźniów z sań, którzy w konwulsjach opuszczali ten świat. Oni już byli wolni. Inni znów, żyjąc jeszcze, unosili głowy. Nie wiem, o czym oni myśleli w tym momencie, widząc jak nasze szeregi więźniów wchodziły do bramy obozu. Może chcieli iść z nami, może prosili "zabierzcie nas ze sobą", a może "ratujcie nas"? Ale słabnąc, głowy im opadały na śnieg. Widok ten był okropny; nikt z nas nie chciał by być na ich miejscu.

Wprowadzono nas na teren nowego obozu; baraków było dużo niewykończonych. Lokowali nas, gdzie tylko mogli, chociaż baraków była cała masa. Więźniowie z Dyhernfurth II byli w pobliskich suterenach, bez podłóg. Na środku leżała słoma, na której mieliśmy spać. A ponieważ teren był górzysty, to też pod nasze plecy spływała woda. Słoma była tak mokra, że trzeba ją było podrzucac na kupkę, żeby wysączyła się z niej woda, by można się było znów na niej położyć do spania. Ja w tym czasie miałem owrzodzone plecy i pośladki. Chodziłem gdzieś w ukryte miejsca i zdzierałem strupy, bo to tak obrzydliwie wyglądało i świerbiało. Do Gross-Rosen nadchodziły coraz to nowe transporty z więźniami. Dopiero następnego dnia posłano po zupę. Zupa była ze śrutu żytniego, lecz nie zagotowana, a tylko sparzona, a na niej unosiły się "burzyny".

Któregoś dnia, bardzo wcześnie rano, mogła być godzina 4-ta rano, przyszedł Holender i zabrał więźniów po zupę; zabrano i mnie. Kotły z zupą były ciężkie, tak nam się wydawało, ponieważ byliśmy słabi i głodni. Z ciężarem schodziło się po takim stromym miejscu; na dworzu leżał śnieg topniejący i robiła się taka maź gliniasta; nogi grzęzły w tej mazi. Jak w tym czasie przewróciłem się, zemdlałem. Koledzy krzyczeli: kapo, kapo Stanis ist tod - /Stanis nie żyje/. Rozebrano mnie do naga i zanieślono na stos trupów pod krematorium; lecz ja tylko zemdlałem. Po pewnym czasie odzyskałem przytomność i w ciemnościach macałem ręką, gdzie jestem. Wyczuwałem zwłoki ludzkie, wywlokłem się spod nich i na czworakach przywlokłem się na miejsce, gdzie spali pozostali więźniowie. Zanim się przywlokłem rozdano zupę. Kiedy pokazałem się w wejściu do sutereny, bo drzwi tam nie było, koledzy mówili, że wyglądałem jak świnia wybrudzona w błocie. Ja wołałem: pić, pić. Blokowy wycedził może 1/2 litra, może trochę mniej zupy; napiłem się, zdążyłem tylko powiedzieć po niemiecku do blokowego, żeby przywołał Holendra i padłem na ziemię ze słabości. Holender natychmiast przyniósł mi jakieś ubranie i namalował mój prawdziwy numer, a w dzień uzupełnił.

Tym razem w Gross-Rosen nie byliśmy długo. W obozie zaczęło robić się ciasno i jakieś niespokojne ruchy na starym obozie. Tego samego dnia zarządzono zbiórkę, przygotowanie dalszej ewakuacji; odszedł pierwszy transport w głąb Niemiec. Jak się później okazało, transport odszedł do Buchenwaldu. Ja i setki innych więźniów wyjechaliśmy następnego dnia bardzo wcześnie rano. Pędząc nas rzucono w biegu miski, potem wleli trochę zupy, w biegu wypić, oddać miskę i na wagony. Do wagonu wpędzano po 80-ciu więźniów; część wagonu musiała zostać wolna dla esesmana i jego żony, która z nim

uciekała. Jechaliśmy w odkrytych wagonach; z wagonów widzieliśmy, jak biła artyleria radziecka. Ogień z "katiusz" migotały po niebie. Jakże przykro nam było widzieć wolność blisko, a my - ciągle dalej i dalej w niewolę. Wiatr ze śniegiem smagał nas po twarzy; było zimno; odjechaliśmy.

Dyhernfurth, den 28. 11. 44.
Nr archivum Gross-Rosen 1.5.3.55.
Der Tag der Entlassung kann jetzt noch nicht angegeben werden. Besuche im Lager sind verboten. Anfragen sind zwecklos.

Auszug aus der Lagerordnung:

Jeder Häftling darf im Monat 2 Briefe oder Postkarten empfangen und abgeben. Eingehende Briefe dürfen nicht mehr als 4 Seiten à 15 Zeilen enthalten und müssen übersichtlich und gut lesbar sein. Gebildungen sind nur durch Postanweisung zulässig, deren Abschnitt nur Vor-, Zuname, Geburtstag, Häftlingsnummer trägt, jedoch keinerlei Mitteilungen, Geld, Fotos und Vorkontenlagen in Briefen sind verboten. Die Annahme von Postsendungen, die den gestellten Anforderungen nicht entsprechen, wird verweigert. Unübersichtliche, schlecht lesbare Briefe werden vernichtet. Im Lager kann alles gekauft werden. Nationalsozialistische Zeitungen sind zugelassen, müssen aber vom Häftling selbst im Konzentrationslager bestellt werden. Lebensmittelpakete dürfen zu jeder Zeit und in jeder Menge empfangen werden.

Der Lagerkommandant

Liebe Frau! Ich teile Dir mit, dass ich diesen Brief auf Anordnung des Herrn Lagerkommandanten schreibe. Ich befinde mich im Arbeitslager Dyhernfurth, bin gesund und fühle mich wohl. Meine Adresse für Paketsendungen lautet:

Schutzhäftling Liskiewicz Mieczysław,

Nr. 2280, geb. 19. 1. 05

K.L. Arbeitslager Dyhernfurth

⑧ Dyhern, Rth a. d. O.

und für Brief- u. Geldsendungen ist:

Schutzhäftling Liskiewicz Mieczysław,

Nr. 2280, geb. 19. 1. 05

Konzentrationslager

⑧ Gross-Rosen / Schlesien

Es ist erlaubt Lebensmittel- u. Wäsche Pakete zu empfangen.

Ich grüsse und küsse Dich

Liskiewicz

Exprespakete u. Einschreiben sind verboten!

List pisany z Dyhernfurth przez Mieszysława Liskiewicza dnia 28 listopada 1944 roku.

Nr archivum Gross-Rosen 1.5.3.55.